

JUDASZ

Wchodząc do sekretariatu działu laboratoriów, Cyprys minął się z wychodzącym z niego szefem ochrony korporacji Gutrie. Był to rosły mężczyzna z kanciastą twarzą i podejrzenie rozbieganymi oczami o wiecznie rozszerzonych źrenicach. Teraz wyglądał jeszcze dziwniej. Bok ust miał opadnięty, a przez niedomknięte wargi dało się zobaczyć puste dziąsła pokryte żółtawą śliną. Wszystko, co robił ten człowiek, wydawało się tajne, podobnie jak jego nazwisko i lokalizacja biura. Nie warto było dociekać, czym ten jegomość się zajmuje, bo z pewnością oznaczało to kłopoty, chociaż Cyprys wciąż sądził, że jego własna pozycja w firmie jest na tyle silna, że jakiś tam szef ochrony o utajnionym nazwisku i nieistniejącym gabinecie nie wejdzie mu w drogę, nie śmiałby tego zrobić „przyjacielowi” prezesa Bishopa. Ale czego szukał w laboratorium? Dlaczego tak spojrział, jakby z jakiegoś powodu czuł satysfakcję? Gdzie się podziały jego zęby? No i czemu budynek Gutrie jest całkiem wyludniony, łącznie z recepcją i sekretariatem laboratorium?

Był dość wczesny poranek, parę minut po rozpoczęciu oficjalnych godzin pracy. Cyprys prawie nie spał tej nocy. Musiał zabezpieczyć wejście do

tunelów od strony Hainburga i zamknąć awaryjne przejście w komorze wentylatora. Czekają go jeszcze najważniejsze tego dnia spotkanie – z Luffordem. Wciąż nie wymyślił, jak zrealizować do końca plan Króla. Póki co udało mu się zwabić Marka do podziemia, ale nie miał żadnej pewności, że klaun podąży jego tropem.

Wszystkie urządzenia w laboratorium czuwały po nocy w trybie *stand-by*. Generyczni laboranci dopiero zaczynali swój automatyczny taniec między spektrometrami i mikroskopami. Nic nie wskazywało na to, że szef ochrony grzebał w komputerze, zresztą i tak niczego by nie znalazł. Cyprys wyjątkowo pedantycznie opracowywał notatki. Nigdy nie pisał ręcznie, a w plikach miał tylko dane telemetryczne oraz ogólne założenia. Nigdzie natomiast, oczywiście prócz własnej głowy, nie miał opisanych sposobów i recept postępowania. Od dziecka posiadał wręcz genialną pamięć, zatem najlepszym sejfem naukowych skarbów był dla niego jego własny mózg. Stamtąd najtrudniej jest wydobyć przydatną, a więc całościową informację na temat genów i eksterioryzacji. Co jednak, do jasnej cholery, szef ochrony robił w laboratorium? Cyprys był zbyt wyczulony na punkcie konspiracji, żeby zignorować tak nieoczekiwaną wizytę. Musiał natychmiast wdrożyć w życie awaryjny plan, który z takim uporem maniaka powtarzał sobie nieraz w myślach i ćwiczył w praktyce.

Usiadł przy swoim skromnym biurku, a Kodi natychmiast zeskoczyła z jego ramienia i znalazła sobie miejsce na stercie pękających segregatorów.

– Nie będę mógł cię ze sobą zabrać – powiedział, obserwując, jak czyści sobie futro na grzbiecie. – Jesteś częścią planu. – Wyciągnął do niej rękę.

Małpka chyba zrozumiała, bo zakryła uszy łapkami i cicho burknęła, ale nie dała się pogłaskać.

Hasło składało się z liczby π zapisanej z dokładnością do czterdziestego miejsca po przecinku. Dodatkowe zabezpieczenie stanowił odcisk kciuka Cyprysa na czujniku, który rozpoznaje przepływ krwi, a nie tylko linie papilarne. Ostatnim etapem było wpisanie słowa kluczowego „Judasz”, dopiero wtedy komputer inicjował sekwencję bez wyświetlania żadnych wizualizacji postępów ani nadawania sygnałów dźwiękowych. Wskaźnikiem tego, że zabezpieczenia są wyłączone, a realizacja sekwencji awaryjnej została rozpoczęta, była małpka. Wciąż żyła, a więc kapsułka z trucizną nie wybuchła.

– Kodi, chodź do mnie – poprosił. Małpka się nieco ociągała, ale w końcu przeszła po ręce i usadowiła się na ramieniu Cyprysa. Przytulił do niej głowę. Poczul ciepło, gładką sierść i szybko bijące serce. Pachniała nieco kwaśno, trocinami, wilgotną piwnicą i moczem. Lubił tę woń. Przypominał mu esencję życia, tę ukrytą głęboko pod ubraniem, przesiąkniętą chemikaliami do mycia i zapachem perfum. Ten smak i aromat egzystencji wydawał mu się już kompletnie zapomniany. Zastąpiła go cywilizacja conceptualnej wolności, która w rzeczywistości była jednoznaczna z techniczną niewolą. Droga człowieka od wymyślenia światła, które z Kosmosu rozjaśniłoby Ziemię, powoli dobiegała końca, odkąd Cyprys

udowodnił, że religia łączy się z nauką w najmniej spodziewanym punkcie – w duszy. Tyle że ta kapłańska idea do tej pory wykorzystywana była jako pułapka dla umocnienia pokory wyznawców, a Cyprys uwolnił ludzką duszę tak radykalnie, że z łatwością mógł zrobić z owych czcicieli międzyrzeczywistościowe potwory. Chyba lepiej byłoby wciąż oświetlać sobie drogę oliwnymi kagankami.

– Najgorsze w trudnych wyborach jest to, że trzeba skrzywdzić kogoś zupełnie niewinnego, wbrew jego woli – wyszeptał, a małpka zrobiła tak wielkie oczy, jakby wszystko zrozumiała.

Jeszcze raz otarł się policzkiem o jej bok i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki niewielkiego pilota z dotykowym panelem.

– Kodi, teraz zrobisz to, co tyle razy ćwiczyliśmy – powiedział łamiącym się głosem, rysując na pilocie znak trójkąta. Małpka krzyknęła i natychmiast poleciała w głąb laboratorium.

Nadszedł czas na Lufforda – pomyślał.

Kolana ugięły mu się ze strachu, kiedy szedł do windy, która znajdowała się po drugiej stronie hali laboratorium. Musiał przejść obok kontenerów. Dokładnie pamiętał, gdzie uwięził Brunona. To miejsce wciąż było zaplombowane i do tej pory jeszcze ani razu nie zostało użyte. Lufford chorobliwie bał się, że ciągle mogą w nim być niewidoczne molekuły jego brata, mimo parokrotnej dezynfekcji promieniowaniem UV i środkami chemicznymi.

W obitej czerwonym aksamitem windzie Cyprysowi zrobiło się niedobrze. Nie znosił tego sztucznego

blichtru, którym otaczał się prezes. Wyśmiewał w duchu ten brak smaku i niedostosowanie środków do roli miejsca. Teraz jednak czuł obrzydzenie wymieszane ze strachem i niepewnością. Musiał znaleźć jakieś przekonujące wyjaśnienie niespodziewanego otwarcia drzwi w komorze wentylatora. Nie było innego sposobu, żeby wprowadzić Marka do Gutrie, wiedział o tym, a cena tej konspiracyjnej akcji mogła być wysoka. Z pewnością dlatego szef ochrony krążył po laboratorium. Tylko uprawniona ekipa techniczna mogła wchodzić do wiatraka, i to raz na sześć miesięcy. Nikt z nich nie miał natomiast pojęcia, co ta dmuchawa tak naprawdę zasila, ponieważ nie wiedzieli, że w podłodze zostało zainstalowane ukryte przejście do pomieszczenia technicznego we właściwym podziemiu. Myśleli, że to niedokończona budowa tajnego sektora militarnego (Lufford miał też i takie pomysły), zasypana i zapieczętowana przez dział badań. Jednak teraz wszystko mogło się zmienić. Jak zaczną szperać obok wiatraka, to w końcu znajdą ukrytą zapadnię, a wtedy istnienie podziemnego miasta wyjdzie na jaw.

Wszystko, co Cyprys mógł w tej chwili zrobić, to uprzedzić nadchodzącą katastrofę poprzez wywołanie innej, znacznie większej, którą precyzyjnie zaplanował, dla korporacji Gutrie miała to być wręcz totalna apokalipsa.

Winda delikatnie wyhamowała na najwyższym piętrze wieżowca.

Jak zwykle zasłonię mu widok na ten paranoiczny obraz – pomyślał, kiedy drzwi rozsunęły się z cichym pneumatycznym syczeniem.

W ogromnym gabinecie panowała złowroga szarość spowodowana przez opuszczone do połowy rolety w oknie, które pełniły równocześnie funkcję zewnętrznej ściany drapacza chmur Gutrie Ltd. Było też dość zimno. Bishop zawsze lubił mieć włączoną na maksymalne chłodzenie klimatyzację, jednak nie do tego stopnia, żeby w pomieszczeniu panowała tak niska temperatura, jakieś piętnaście stopni.

Naprzeciw windy, pod oknem, stało ogromne i puste biurko. Lufforda przy nim nie znalazł, nie było go też w żadnym innym miejscu w gabinecie. Cyprys spojrzął na zegarek. Owszem, było dość wcześnie, ale nie zdarzało się, żeby o tej godzinie prezes nie był obecny. To ten typ człowieka, który nigdy nie choruje, nie bierze urlopu, a większość spotkań odbywa wyłącznie w sąsiadującej z tym pokojem i zabezpieczonej kontrwywiadowczo sali widowiskowo-audiencyjnej, bo trudno nazwać salą konferencyjną pomieszczenie o powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych. Megalomania Lufforda przebijała się nawet w dobieraniu powierzchni lokali, które wykorzystywał podczas pracy.

Teraz, kiedy wszedł do pustego gabinetu, Cyprysowi wydawało się, że to niemożliwe, by ktośkolwiek żywy i ludzki mógl tu pracować, a zwłaszcza spotykać się z innymi możliwymi tego świata i negocjować z nimi warunki zabójczych kontaktów. Może firma była doskonale zorganizowaną złądą, a tylko on i Bishop spotykali się w tym miejscu, jak medialne odnogi jakichś innych kosmicznych bytów, dookoła których nie istnieje

Gutrie, a tym bardziej Hainburg i podziemie? Jest tylko sen.

Przejechał dłonią po gładkiej powierzchni biurka, spojrzął na palce i zobaczył biały nalot. Nie był to kurz, ale coś w rodzaju barwiącego skórę pudru albo drobin wyschniętej farby. Z narastającym lękiem rozglądał się dookoła. Winda zdążyła już automatycznie schować się w podłódze. Został tylko Cyprys i obraz van Gogha z gwiazdzistym, oszalałym niebem.

Nie chciał na niego patrzeć, chociaż jakaś nie-nawistna siła przyciągała go do tego płótna. Czasem myślał, że to właśnie ciągłe gapienie się na to malowidło uczyniło z Lufforda takie oślisłe monstrum. Jaki jednak związek mogła mieć warta miliony sztuka ze skłonnością do bycia skurwysynem, którą przejawiał jej nabywca?

Wejście do sali audiencyjnej znajdowało się gdzieś po prawej stronie, wkomponowane w ścianę tak, żeby z daleka nie można go było dostrzec, ale Cyprys doskonale wiedział, gdzie szukać. Zdecydowanym krokiem podszedł do pustej ściany, jakby zaraz miał ją staranować, i pchnął butem wystający o parę milimetrów fragment. Tajne drzwi nie były zamknięte. Tak jak przypuszczał, w drugim pomieszczeniu również panowały chłód i półmrok. Przez całą długość wysokiej komnaty ciągnął się drewniany stół z ozdobnymi krzesłami w stylu rokoko. W oddali, na jego szczycie, jak samotnie biesiadujący król, którego opuścili poddani, siedział człowiek w garniturze i patrzył w kierunku wejścia.

– Długo czekałem – odrzekł do stojącego przed nim mikrofonu, a z rozmieszczonych pod sufitem głośników wydobył się zwielokrotniony przez akustykę wysokiej sali tubalny męski głos. Cyprysowi przeszły ciarki po plecach. Uświadomił sobie wtedy, że Kodi biegnie teraz tunelami wentylacyjnymi wprost do biblioteki genów.

Oby jej się udało. Moja śliczna Kodi – pomyślał, robiąc ostrożnie krok do przodu.

Wtem z głośników zagrzemiał Lufford:

– Zostań tam! Usiądź na krześle obok.

Zaskoczony Cyprys zrobił tak, jak nakazał mu prezes. Siedzieli teraz po przeciwnych stronach ogromnego blatu, a dzieliło ich chyba z czterdzieści metrów. Z tej odległości Cyprys nie za bardzo dostrzegał twarz Bishopa, ale wydawało mu się, że prezes nie wygląda zbyt dobrze.

– Nie wzywałem cię – odezwał się z głośników Lufford.

– Wiem, ale pomyślałem, że wpadnę. Trochę się działo, Luki – odparł Cyprys ze ściśniętym gardłem. Miał wrażenie, że jego głos dotarł gdzieś do połowy stołu, a potem nagle opadł bezwładnie na blat. Dalej była już tylko cisza, którą od czasu do czasu przerywał wzmocniany przez mikrofon i chrapliwy oddech Bishopa.

– Ale skoro wpadłeś, to może opowiesz mi coś wesołego? – zagrzemiał prezes.

– Najpierw zrezygnujmy z tych głośników. Za-raz pękną mi bębenki – wykrzyknął Cyprys. Tym

razem wystrzelone jak z procy słowa jakoś doczołgały się do uszu Lufforda.

– Jesteś za daleko. Musiałbym krzyzczeć, a nie mam siły – odpowiedział Bishop.

– To może przesiądę się bliżej?

– Nie! Zostań tam, gdzie jesteś! Nie chcę cię zarazić moim wirusem.

On nigdy nie chorował – pomyślał naukowiec.

– W takim razie dobrze! Może jakimś cudem nie ogłuchnę i nie ochrypnę. – Cyprys nie spodziewał się, że kiedykolwiek będzie w tak groteskowy sposób rozmawiał z Bishopem.

– Nie lubisz megafonów? – zapytał prezes.

– Niezbyt.

– Co w ogóle lubią tacy jak ty? Masturbować się do kosza z zużytymi notatkami, a później w panice w nich grzebać, bo wyrzucony pomysł jednak okazał się dobry? Ha, ha! – Membrany w głośnikach zatrzeszczały pod wpływem rechotu Bishopa. Tę uwagę Cyprys pominął jednak milczeniem. – Miałeś mi opowiedzieć coś zabawnego – przypomniał sobie Lufford.

Ciekawe, gdzie teraz jest Kodi – zastanawiał się w myślach odkrywca „lusterek”.

Małpka była już w centralnym magazynie generyków. Wprawnie ominęła wszystkich automatycznych strażników i laserowe promienie zabezpieczające. Dotarła do celu w mniej niż pięć minut, dokładnie tak, jak w czasie ostatnich ćwiczeń. Delikatnie chwyciła łapkami za odkręconą już wcześniej kratkę wentylacyjną i wyjęła ją. Następnie

wyrzała ostrożnie z szybu, żeby upewnić się, czy jest we właściwym miejscu. Z jej perspektywy rozciągał się onieśmielający widok na podłużną halę wielkości boiska piłkarskiego, szczelnie wypełnioną szklanymi kadziami. W każdej z nich poruszało się coś żywego, co w mniejszym lub większym stopniu przypominało dorosłego człowieka w różnych fazach rozwoju płodowego. Sarkofagi wypełniał syntetyk płynu owodniowego, a między nimi od czasu do czasu przechadzali się ubrani w białe kitle laboranci i na trzymany w rękach tabletach kontrolowali parametry życiowe generyków. Małpka cicho zaskrzeczała i wycofała się do aluminiowej rury wentylacyjnej, po czym skuliła się, marszcząc skórę na grzbiecie, jakby na coś niecierpliwie wyczekiwała.

– Skoro nie masz nic do powiedzenia, to w takim razie ja ci coś opowiem. – Głos Lufforda wyrwał Cyprysa z rozmyślań o Kodi.

Cyprys zacisnął rękę na niewielkim pilocie, tym samym, którym zmusił swoją małpkę do rozpoczęcia szaleńczego maratonu szybami wentylacyjnymi do fabryki generyków.

– Wyobraź sobie pokój, w którym jesteś zamknięty od urodzenia. Nigdy nie wychodziłeś, a świat znasz tylko z obserwacji przez okno. Zapewne z powodu narastającego zaniku mięśni i uwięzienia nie przeżyłbyś długo, ale założmy sytuację idealną, że jakimś sposobem udaje ci się dociągnąć do czterdziestki (chyba jeszcze tyle nie masz, ale jesteś blisko), przebywając cały czas w tym pokoju. Jesteś

dobrze karmiony, masz świetną opiekę medyczną, a pomieszczenie jest na tyle duże, że można tam nawet zrobić minisiłownię. O tak, ciało trzeba ćwiczyć, żeby jak najdłużej podtrzymało twoją świadomość przy życiu, w formie zdolnej do podstawowych refleksji.

Na co się mogą przydać skrzywione rozważania więźnia od urodzenia? Chyba do równie dewiacyjnych zachowań wobec niego – dopowiedział sobie w myślach Cyprys.

– Świat, który oglądasz z pokoju, jest trochę inny niż to, do czego my przywykliśmy. Na zewnątrz zawsze świeci słońce, a okno wychodzi na łąkę, która sięga aż po horyzont błękitnego nieba. Przez środek łąki przechodzi ścieżka. Spacerują, a raczej unoszą się nad nią czarne zarysy zwierząt, roślin oraz ludzi w różnych pozach i ubraniach. Pamiętaj, od urodzenia widzisz same czarne sylwetki, jak w dziecięcym teatrzyku, kiedy wycinało się z papieru lalki, malowało je na czarno i podklejało do każdej z nich tekturkę, żeby było za co je trzymać za sceną, którą imitował na przykład kuchenny stół. Niczego innego nie znasz, prócz zielonego koloru trawy, błękitu nieba i czarnych sylwetkowych postaci jednostajnie przepływających ubitym traktem przez środek łąki. Na początku nikt nie mówi ci też, co tak naprawdę widzisz za oknem. Dopiero później podają ci nazwy poszczególnych zarysów, tak że po latach umiesz nazwać większość przepływających figur. Tysiące nazw w twojej głowie, ale żadnego doświadczenia. Jesteś zamknięty.

– Znam tę metaforę. To jaskinia platońska – odezwał się nagle Cyprys, jakby chciał w ten sposób zatuszować szok, ponieważ właśnie odkrył, że blat stołu, przy którym siedzi, jest pokryty białym, oleistym nalotem, do złudzenia przypominającym farbę, a na opuszkach palców rozciera się jak podkład do twarzy, uwidaczniając każdą, nawet najmniejszą linię papilarną. Jednak Lufford w ogóle nie zwrócił uwagi na te słowa.

– Twoja świadomość nawykła już do tego, że nie istnieje żaden inny świat. Jest za to harmonogram jedzenia, wypróżniania, ćwiczeń fizycznych i obserwacji niekończącego się pochodłu czarnych sylwetek za oknem. Wszystkim wydaje się niewyobrażalne, że można tak żyć, a dla ciebie to jedyna możliwość istnienia. W twoim pokoju nie ma drzwi, okno się nie otwiera, szyba jest pancerna, a ten, kto przynosi ci jedzenie, z kim wymieniasz proste, wytresowane uwagi, jest ubrany na czarno. Sypiasz na białym sieniaku, a reszta mieszkania, w tym wszystkie pozostałe sprzęty, jest w szarościach, zieleniach i w czerni. Nauczyłeś się patrzeć na świat cieni i uznawać go za prawdziwą rzeczywistość.

Cienie to też rzeczywistość. Już dawno wyrwałem się ceniom – pomyślał Cyprys.

– Jednak dla człowieka nic nie trwa wiecznie. Miara rozpadu cząsteczek jego ciała, nazywana górnolotnie „czasem”, nieubłaganie wywołuje zmianę, więc obraz za oknem również się przeobraża, bo takie jest bezwzględne prawo, jedyne, które tak naprawdę rządzi wszechświatem. Reszta

to tymczasowe rozwiązania stosowane przez panów pragnących przez chwilę mieć niewolników. Powracając do twojego widoku zza okna, którego dnia obudziłeś się, a na bezkresnej, wiecznie zielonej łące stał wielki czerwono-żółty cyrkowy namiot. Nigdzie nie było widać pochodów lewitujących nad drogą kształtów. Kolorowo ubrani ludzie śpiewali, cieszyli się, podrzucali buławami i tresowali zwierzęta na wysypanych mieszanką zrębków i trocin zrobionych naprędce padokach.

Na dźwięk słów „cyrkowy namiot” dłoń Cyprysa zacisnęła się mocniej na gorącym, bo rozgrzanym w uścisku dłoni, pilocie.

To jeszcze nie ten moment – upomniał się w myślach naukowiec. Cały czas obserwował mówiącego Bishopa, ale nie mógł dostrzec żadnych szczegółów na jego twarzy. W sali konferencyjnej zrobiło się teraz jakby ciepłej, co działało kojąco na mięśnie Cyprysa, które trzęsły się już jak legumina.

– Przecierałeś ze zdumienia oczy, bo twoja kora wzrokowa nigdy jeszcze nie odbierała takich wrażeń, nie wiedziałeś nawet, jak nazwać te wszystkie barwy i tenty, nakładające się kolaże żywych, przestrzennych kształtów, a nie monochromatyczne sylwetki wysświetlane jak na wysłużonym celulodzie – mówił dalej Bishop. – Pierwszym twoim odruchem było drapanie w pancerną szybę. Chciałeś podbiec do tego zbiegowiska, jak spragnione dotyku i smaku dziecko, zagłębić się w ten fantasmagoryczny popis rodem z psychotycznej wyobraźni. Nikt jednak nie otworzył okna, nie wpuścił cię do

„prawdziwego” świata, kazał tylko patrzeć z daleka na przygotowujących się do wieczornego przedstawienia cyrkowców. Zacząłeś krążyć niespokojnie po mieszkaniu, w końcu walić pięściami w ściany i rozbijać je na strzępy. Twój mózg zwariował od nadmiaru nietypowych bodźców. Dla mężczyzny, który ma czterdziestkę na karku, taki nagły wzrost napięcia mógł się skończyć źle, dlatego wkrótce ktoś cię odwiedził, ale nie był to już człowiek w czarnym trykocie.

– Klaun? – Cyprys zadał sobie po cichu to niebezpieczne pytanie. – Bishop go nie usłyszał, ale odpowiedział tak, jakby uprzedził jego myśli.

– Nie, mylisz się, to nie klaun. Odwiedził cię sam dyrektor cyrku wraz z wielkim jak góra pomocnikiem. Jeśli chodzi o dyrektora, był to jegomość niezwykle szarmancki i uważny. Nosił melonik, czarną koszulę z mieniącym się w świetle złotym krawatem, tweedową kamizelkę dwurzędową z klapami ciętymi w szpic oraz narzucony na to zrobiony z czerwonego kaszmiru trenecz. Wyglądał naprawdę dostojnie, chociaż to dystyngowanie pasowało raczej do szansonisty, wyrosło ze sztuki zabawiania ludzi na scenie i nie miało związku z wielowiekową tradycją i błękitną krwią.

– To on wyprowadził cię na spacer, jak psa z azylu. Musiał to zrobić niemalże siłą, najpierw dając ci zastrzyk z jakichś opiatów, żebyś nie umarł na zawał, a wciąż był przytomny. Zaprowadzili cię do cyrku, wprost do pierwszego rzędu na arenie, gdzie miałeś obejrzeć spektakl. Wcześniej jednak pokazali ci

zwierzęta i mnóstwo przedmiotów. Każdego z nich mogłeś dotknąć, każdy powąchać, a niektóre nawet wziąć do ust. W twoim umyśle zaczęło wreszcie rodzić się skojarzenie owych niegdysiejszych sylwetek przepływających przed oknem z poszczególnymi rzeczami, które zobaczyłeś. Powoli udawało ci się łączyć nazwy wtłoczone ci do głowy przez człowieka w czarnym ubraniu z ich desygnatami – nareszcie słowo „lew” oznaczało wielkiego kota z bujną grzywą, a nie wycięty z tektury, pomalowany czarną farbą szablon. Napięcie stopniowo cię opuszczało. Na powietrzu, smakując rzeczywistość wszystkimi zmysłami, dotknąłeś tego najcenniejszego uczucia, jakiego może doświadczyć istota ludzka – wolności. Gdybyś znał chociaż trochę literaturę, wiedziałbyś już wtedy, dlaczego zdecydowana większość pisarzy tak górnolotnie piała na ten temat, chociaż ta idea jest nad wyraz przereklamowana i tęsknią za nią najbardziej ci, którzy jeszcze nigdy z niej nie skorzystali.

Wolność klauna z cyrku – wolność hodowanego od urodzenia więźnia – zapraszam do podziemi na zapoznanie się z wolnymi ludźmi – pomyślał Cyprys.

– Nabuzowany emocjami i odurzony psychotropami siedziałeś więc na ławce pod wielkim cyrkowym namiotem i wyczekiwałeś na rozpoczęcie przedstawienia. Kiedy się zaczęło, z łatwością dałeś się omamić akrobatom na trapezach, treserom lwów skaczących przez płonące obręcze i żonglerom morderczymi piłami łańcuchowymi, aż rozplakałeś się z wrażenia, kiedy zobaczyłeś

prestidigitatora, który przemieniał suknię swojej asystentki z kreacji balowej na dyskotekowe mini, obsypując jej postać deszczem confetti. Wciąż grała buńczuczna muzyka, kiedy na arenie pojawił się fajtlapowaty klaun. Dookoła ciebie, jakby z podziemi, wyrosła sztucznie rozbawiona publika, która rzucała w biednego trefnisia jajkami, pomidorami i innymi resztkami jedzenia. Klaun bez słowa sprzeciwu przyjmował te hojne dary, co wywoływało jeszcze bardziej gromki rechot rządnej wyszydzania innych tłuszczy. Nagle wszyscy w namiocie ucichli, orkiestra zamilkła, powietrze zagęściło się od niecierpliwego oczekiwania, bo oto nieporadny klaun wskazał palcem na ciebie. Ty również przestałeś się śmiać, bo obok pojawili się dwaj spoceni atleci i wywlekli cię na środek areny. Sytuacja zmieniała się tak szybko, że nie dostrzegłeś najważniejszego. Na oczach wiwatującego tłumu rozebrali cię do naga z twojego szarego kombinezonu więźnia i przebrali w strój klauna, założyli ci świecący, czerwony nos, a twarz wymalowali białą farbą. Orkiestra znów zaczęła napierdalać dęte kawałki, jak na weselu u koczowników, a ty łąziłeś w kółko po wysypanej piaskiem scenie, zdezorientowany i szaszczuty, jak złapane w pułapkę zwierzę. Nigdzie nie było tego drugiego klauna. Okazało się, że zostałeś sam z publiką, że to ty jesteś klaunem i że nigdy nie umiałeś grać nikogo innego. Zrozumiałeś tę pułapkę? Najpierw nie pozwalali ci zobaczyć świata takim, jakim jest, a następnie zademonstrowali ci go z perspektywy

ośmieszonego palanta w za dużych butach. Czy pokazali ci jakkolwiek rzeczywistość?

Cyprys przemilczał to pytanie, uznając, że jest figurą retoryczną zadufanego w sobie bufona na wysokim stołku, o dopiero co odkrytych zapędach kaznodziejskich. Mylił się.

– Nic nie odpowiadasz, ale sędzę, że wiesz, jednak z niewyjaśnionych powodów wolisz odgrywać rolę milczącego Judasza.

– Nie wiem! – krzyknął Cyprys, żeby mieć pewność, że oddalony o wiele metrów Lufford usłyszał odpowiedź. Nie wiem! – powtórzył zachrypniętym głosem. – Nazwanie go Judaszem wywołało u niego ciarki na plecach i na chwilę wyprowadziło go z równowagi.

Kodi powinna już być na pozycji – pomyślał.

– Odpowiedź brzmi: Pokazali! Ty jednak tam, na tej arenie, obserwowany przez setki prześmiewczych oczu, nie umiałeś sobie uświadomić rozwiązania tej zagadki. Bo widzisz, kiedy siedziałeś za szybą i tak obserwowałeś te przepływające sylwetki ludzi, zwierząt, roślin i rzeczy, widziałeś zaledwie osnowę, prezentację, zaprojektowaną specjalnie, żebyś nigdy nie poczuł żadnej ciekawości, ale to nie oznacza, że pokazali ci coś, co nie istnieje, coś, co jest kłamstwem. Pokazali ci najbezpieczniejszą wersję, jak niewinnemu dziecku, żeby ocalić idealność jego duszy. Cyrk to natomiast metafora tego momentu w twojej świadomości, kiedy nagle odkrywasz świat, w którym nie istnieje coś takiego jak kłamstwo ani żadna inna niezgodność

myśli z dziejącymi się poza nią faktami. Nieznośne to środowisko, wręcz niemożliwe do życia, prawda? Teraz widzisz, że jeśli nagle zorientujesz się, że zupełnie nie z własnej winy stałeś się klaunem, a do tej pory jedynie naiwnie marzyłeś o tej roli, nie wiedząc, co to tak naprawdę oznacza, to zacznasz ze wszystkich sił pragnąć tego świata za szybą. Nie ma jednak odwrotu. Mało tego, okazuje się z czasem, że cyrk również nie jest rzeczywisty – rzeczywistość to tylko rodzaj świadomości, przechodniej z ciała do ciała, która jest niematerialna, albo wręcz antymaterialna. No właśnie! Na to pytanie jeszcze wystarczająco jasno nie odpowiedziałeś, a przynajmniej nie tak, żeby Lufford zrozumiał. Ja też chcę. Muszę w końcu dowiedzieć się, kim jestem!

Cyprys w tym momencie o mało nie zemdłał. Wciąż odpychał od siebie tę myśl, ale był za inteligentny, żeby się nie domyślić. Ta biała farba na meblach, ten dziwny dystans Bishopa, przewrotna farsa, którą odgrywał w sali konferencyjnej, używając nagłośnienia. Prawdziwy Judasz zadenuncjował imitację Judasza. Cyprys nacisnął przycisk.

Kodi, która przez cały ten czas była ukryta w przewodzie wentylacyjnym pod sufitem wielkiej hali narodzin, zadrżała. Pan wysłał sygnał wprost do mikroprocesora w jej mózgu. Małpka ostrożnie wychyliła głowę z otworu i jeszcze raz obejrzała halę. Momentalnie zlokalizowała cel i skoczyła. Dostanie się do centralnego zbiornika z płynem owodniowym miało jej zająć nie więcej niż dziesięć

sekund, niezależnie od przeszkód. Mikroprocesor w jej mózgu miał zapisane tysiące kombinacji, w zależności od losowego położenia laborantów i ochroniarzy, no i na bieżąco modyfikował drogę. Sześć – przeskok na jeden z sarkofagów, tuż przed oczami człowieka w białym kitlu, siedem – skok na ramię strażnika, osiem – chwyt za kolbę jego karabinu i wykorzystanie siły odśrodkowej, żeby znaleźć się na górnej pokrywie zbiornika, dziewięć – wpisanie pięciu cyfr kodu otwierającego zamek cyfrowy, dziesięć – przywarcie do ściany cysterny, wyszczerzenie zębów do spanikowanych ludzi i aktywacja ukrytego za otrzewną miniładunku C4, który prowokuje zapłon głównej bomby schowanej na dnie kadzi.

– Chcesz wiedzieć, co zrobiłeś w tym cyrku? – zapytał Bishop, ale właśnie w tym momencie lekko zadrżała podłoga i gdzieś w oddali włączyła się syrena alarmu. Prezes jednak mówił dalej, jakby spodziewał się tego, co nastąpiło: – Krążyłeś oszalały po arenie. Narastał w tobie gniew w stosunku do innych i zarazem do siebie. Czułeś, że nie pasujesz do tego ciała, do namiotu, do barw, których nawet nie umiesz nazwać, do utrudniającego oddychanie nosa i groteskowej farby na ryju. Ci perfidni naukowcy, którzy wcześniej uwięzili cię za szybą, teraz podłożyli ci broń. To ciekawe, ale skądś wiedziałeś, jak się nią posłużyć, a może nagle zobaczyłeś obok siebie innego klauna, którzy trzymał w rękach czerwony karabin maszynowy. Nikt się nie boi takiej klekoczącej zabawki. Wziąłeś więc

podobną, drugi klaun znów gdzieś zniknął, a ty da-
leś publiczności to, na co zasługiwała. Niekończący
się magazynek, ludzie zbyt oniemiaли, żeby uciekać,
a może specjalnie zaprojektowani w ten sposób,
cyrkowa rzeźnia i ty potykający się o trupy kobiet
i dzieci, wybiegający z namiotu z krzykiem, chcący
za wszelką cenę powrócić do domu za szybą.

W sali konferencyjnej temperatura spadła i to
tak nagle, że na stole pojawił się szron. Zrobiło się
też jakby białawo, wręcz mgliście. Lufford nagle
wstał i nieco chwiejnym krokiem zaczął iść w kie-
runku Cyprysa, który również zerwał się na równe
nogi i cofnął w kierunku drzwi.

– Już po wszystkim. Ładunek wybuchł. Wszyscy
generycy w laboratorium nie żyją. Fala uderzenio-
wa powinna zniszczyć również kontenery. Fabry-
ki pomocnicze w Ożennej i pozostałych lokacjach
też zablokowałem. Wkrótce pracujący w nich lu-
dzie-zamiennicy swoje początkowe zdezorientowa-
nie zmienią w chęć autoneutralizacji. To koniec
Gutrie! – wyjęczał Cyprys, wciąż lokalizując, czy
daleko jest jeszcze do wyjścia. Kątem oka widział,
że drzwi są niedomknięte.

– Może Bishop by się tym przejął, ale ja nawet do-
kładnie nie wiem, kim oni są. – Lufford zatrzymał się
jakieś pięć metrów od wynalazcy „lusterek”. Wyglądał
zupełnie jak prezes, tyle że twarz miał pobieloną farbą
i co jakiś czas przechodziły po niej nerwowe skurcze.

Delikatnie, żeby go tylko nie wystraszyć. Jedna
noga do tyłu, tak, powoli. Muszę zlokalizować te
cholerne drzwi – pomyślał Cyprys.

– Myślałeś, że się nie zabezpieczę? Że miałbym odwagę stworzyć genetycznie zmodyfikowanego mutanta i nie zostawić w nim ani lokalizatora, ani awaryjnego systemu destrukcji? – Cyprys wciąż próbował być groźny.

– Nie wątpię, ale świat w podziemiu zostawiłeś jakoś tak dziwnie tuż pod nosem Lufforda, i to bez zabezpieczenia, prawda? Szef ochrony doniósł mi o wszystkim. Byliście obserwowani.

Cyprys zbladł.

– Co chcesz zrobić? – zapytał, będąc już niecały metr od drzwi.

– Pokazać jej ten twój świat. Muszę! Ta mała kreatura się tego domaga. – Lufford szeroko się uśmiechnął, a wtedy pękła mu skóra na policzkach, odsłaniając tylne dziąsła i spróchniałe zęby pokryte zakrzepłą krwią. Chociaż rozcięte usta zastygły w przerażającym uśmiechu, dookoła rozległ się śpiew:

*W twych podziemiach nakarmiona
służka, której jestem wierny.
W nurcie Styksu ulepiona –
Czy wciąż umiesz nie być mierny?*

*Czas przeprawy szybko mija.
Uwolniony być nie mogę.
Tęsknię więc za twarzą żmija,
żeby kąsać twoją nogę.*

– Cholera, Królu, wyciągnij mnie stąd! – krzyknął Cyprys i skoczył do tyłu, wprost na drzwi. Zmrożone zawiasy stęknęły i pękły od nagłego uderzenia.

W gabinecie chemicznie cuchnąca mgła sięgała już do kolan. Musiał jeszcze otworzyć windę, co na szczęście umiał zrobić za pomocą tego samego pilota, którym wydawał polecenia Kodi. Bishop wcale go nie ścigał. Nawet nie wyszedł z sali audiencyjnej, bo coś znacznie gorszego miało się zaraz pojawić w oparach. Wbiegając do windy, Cyprys zobaczył karłowatą postać. Już raz ją spotkał, i o mało nie stracił wtedy ręki. Stała obok biurka Lufforda, ale się nie ruszała.

Co to wszystko ma znaczyć? Czemu mnie nie ścigają? Może chcą, żebym uciekał, jak zagoniona przez ogary zwierzyna, i dopiero wtedy zacisną kleszcze pułapki? – zastanawiał się w myślach Cyprys.

Winda zawiozła go na sam dół, do holu wieżowca Gutrie. Wewnętrzny alarm wciąż działał, zapewne automatycznie zamknęły się też wszystkie bramy zewnętrzne oraz wyjścia, oprócz jednego, tego tuż obok recepcji. Normalnie prowadziło ono do składu materiałów biurowych, ale w podłodze znajdował się awaryjny, sterowany elektrycznie wąż prowadzący prosto do komory wielkiego wentylatora i dalej do podziemnego świata (kolejny tajny pomysł naukowca). Najpierw trzeba było jednak przejść przez ogromny hol, minąć parę kamer i biuro ochrony.

Cyprys nie był fachowcem od zadań specjalnych w wielkich budynkach. Stwierdził, że najlepiej będzie iść przy ścianach, ale bardzo się zdziwił, kiedy zobaczył, że ani w recepcji, ani w holu, ani nawet w poczekalni i znajdującym się obok

punkcie bufetowym nie ma nikogo. Wszędzie natomiast klębiła się ciężka, niska mgła. Słaniając się na nogach, dotarł jakoś do recepcji. Niespodziewany cios przyszedł z boku. Ostrze bojowego noża ochrony rozcięło mu udo, a elektryczna pałka uderzyła go w kolano. Upadł na ziemię, wijąc się z bólu, i wtedy zobaczył nad sobą strażnika. Nie, to nie był zwykły strażnik – miał wykrzywioną ironicznym uśmiechem twarz, a jego muskularna nagość wprawiała w osłupienie. Zamachnął się kolejny raz prosto w głowę Cyprysa, ten jednak przeturlał się po ziemi, a uderzenie spadło na stojącą obok doniczkę. Już szykowało się kolejne, ale mężczyźnie jakoś udało się przeczołgać za kontuar i zasłonić się masywnym krzesłem. Miał nadzieję, że znajdzie awaryjną broń, zawsze ukrytą pod biurkiem w specjalnym schowku, tuż obok przycisku z alarmem. Na szczęście tam była. W ostatniej chwili ją wyjął, wycelował i nacisnął spust, jednak pałka chlasnęła go w policzek, co wystarczyło, żeby stracił przytomność od ładunku elektrycznego.

Jak z oddali słyszał gwałtowne trzaski, krzyki i głuche uderzenia. Bardzo chciał oprzytomnieć, ale nie umiał, ponieważ ciało w ogóle nie odpowiadało na wszelkie próby skontaktowania się z nim. Czuł się tak, jakby ktoś go włókł po ziemi i od czasu do czasu coś do niego mówił. Nastąpił kolejny trzask zamykanych drzwi, a potem rozbrzmiało skrzypienie metalowych zawiasów, a później zawiało mu w twarz znacznie cieplejsze powietrze, z charakterystycznym aromatem wilgotnych skał. Czyjeś silne

ręce zepchnęły go po gładkiej, zimnej powierzchni głową w dół, tak, że opadł twarzą w coś miękkiego, co momentalnie go otrzeźwiło duszącym zapachem amoniaku.

– Kurwa, zlałeś się tutaj? No nie, mam teraz twoje szczyny na gębie! – wydyszał, kiedy uświadomił sobie, że jest w komorze przejściowej tuż obok wejścia do podziemnego miasta. To tutaj zwabił Marka z Hainburga.

Czuł paraliżujący ból w kolanie i nie mógł nim ruszać, jakby ktoś skutecznie mu je usztywnił. Na policzku miał oparzenie, z głębokiego cięcia na udzie ciekła krew, a w głowie szalał kołowrotek. Musiał jednak przejść jeszcze te parę metrów. Kiedy otworzył bramę do podziemnego świata i zobaczył spokojną ulicę wypełnioną przechodniami, zupełnie nieświadomymi, co się działo na górze, odetchnął z ulgą. Nikt nie zwrócił uwagi na jego kulawy chód, krwawe ślady i zraniony policzek. Sztuczne słońca dawały przyjemne ciepło, na głównym bulwarze przechadzali się niespiesznie ludzie, sami, w parach lub większych grupach, sprzedawcy zapamiętale nawoływali klientów do swoich straganów, chociaż było wiadomo, że żaden nigdy do nich nie podejście, a piętrowe kamieniczki dopełniały ten pocztówkowy wizerunek, tworząc wrażenie, że kapryśny czas w tym miejscu nie płynie.

Stojąc – zupełnie jak kiedyś zdezorientowany Marek – pod ścianą z ukrytym wejściem do podziemi, na której natychmiast po zamknięciu drzwi pojawili się osobliwi sprzedawcy owoców wraz ze

swoimi kramami, Cyprys po raz kolejny uświadomił sobie, że stworzył idealną rzeczywistość, która nikomu nie zagraża, ale też bezdusznie nie zwraca uwagi na żadną zmianę, której wcześniej nie zapisano w algorytmie jej programowego zachowania, choćby była to nawet śmierć niewinnego człowieka na oczach tłumu. Czy więc ulepił świat lepszy od tego na górze, czy może jedynie skopiował panującą w nim idylliczną ułudę spokoju? Nie mogąc się zdecydować, jaka odpowiedź by go naprawdę zadowoliła, powlókł się zatłoczonym bulwarem w stronę kamiennego horyzontu.